

ARKADIUSZ BAGŁAJEWSKI

ur. 1962



Miejsce i czas wydarzeń	Międzyrzec Podlaski, Lublin, PRL, współczesność
Słowa kluczowe	Lublin ; Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN" ; ulica Peowiaków ; Międzyrzec Podlaski ; PRL ; przełom 1989 roku ; edukacja ; szkolnictwo ; Liceum Ogólnokształcące w Międzyrzeczu Podlaskim ; rodzina i dom rodzinny ; współczesność ; Kresy (kwartalnik) ; lubelska prasa ; Na Przykład (gazeta) ; życie kulturalne ; literatura ; działalność wydawnicza ; zespół redakcyjny ; środowisko literackie Lublina ; UMCS ; studia polonistyczne ; Centrum Kultury w Lublinie ; Mała stosunki polsko-ukraińskie ; Związek Literatów Polskich ; Akcent (czasopismo) ; Bagiński, Dobrosław (1952-) ; Guz, Wojciech (1959-) ; Filip, Grzegorz (1958-) ; Józwik, Dariusz (1961-) ; Haponiuk, Mirosław (1959-) ; Kalbarczyk, Adam ; Kitowska, Małgorzata ; ; Kos, Agata ; Kosecki, Piotr ; Kosiewski, Piotr ; Kudelski, Zdzisław (1957-) ; Kwapiszewski, Marek (1946-2017) ; Niewiadomski, Andrzej (1965-) ; Peciak, Andrzej (1955-) ; Pietrasiewicz, Tomasz (1955-) ; Rzepecki, Grzegorz (1960-) ; Święch, Jerzy (1939-) ; Ujma, Magdalena ; Tkaczyszyn-Dycki, Eugeniusz (1962-) ; Wojtak, Maria ; Wojtowicz, Andrzej

001 Jestem międzyrzeczaninem świeżego chowu

Urodziłem się 13 listopada 1962 roku w Międzyrzeczu Podlaskim. Choć moja rodzina stamtąd nie pochodzi. Dziadkowie mieszkali w Warszawie na ulicy Karmelickiej do 1939 roku. W momencie kiedy Niemcy budowali czy tworzyli getto, zostali wysiedleni. Moja babcia pochodziła z Białej Podlaskiej, więc dość przypadkowo dziadkowie znaleźli się w Międzyrzeczu. I tam już zostali.

To jest ta jedna strona. Z kolei rodzice mojego ojca też nie pochodzili z Międzyrzecza, tylko z Kresów. Tato, jego brat i siostra przyszli na świat w latach trzydziestych. Wtedy dziadek dostał w Dęblinie pracę. Dlatego mój ojciec się urodził w Dęblinie (niby niedaleko, to jest też Lubelszczyzna) jak gdyby przypadkowo.

Więc te genealogie były trochę inne. Tak że ja pochodzę z Międzyrzecza, ale jestem międzyrzeczaninem świeżego chowu –tak kolokwialnie zawsze to określam. Dlatego że nie mam tamtych korzeni. Moje miejsce urodzenia jest niezakorzenione, tak jak innych z tego małego miasteczka.

002 Mój dziadek pochodził z rodu Ulrichów

Mój dziadek pochodził z rodu Ulrichów, dość znanych warszawskich ogrodników o dziewiętnastowiecznych korzeniach. Na lepszym planie Warszawy jest zaznaczony Ulrychów. Leżał gdzieś niedaleko Radawca. To była Wola. Ale w tym momencie nie kojarzę już tego dokładnie. W Ulrychowie w XIX wieku znajdowało się znane gospodarstwo ogrodnicze. Zresztą jest książka na ten temat. Nawet nie tak dawno ją czytałem. Ktoś zadał sobie trud i poszperał w losach rodziny. I w tej publikacji dziadek jest wymieniony. Ale to była dziwna historia, bez dalszych rodzinnych dziejów. Po wojnie mój dziadek nie miał dobrego kontaktu ze swoim rodzeństwem. Dlatego ta historia jest przerwana. I inne rodzinne opowieści, które są dla mnie ciekawe, teraz, po iluś latach, zupełnie się zatarły.

003 Byłem dzieckiem bibliotecznym

W Międzyrzeczu uczęszczałem do szkoły podstawowej ośmioklasowej, bo taka była w tych czasach. Chodziłem do niej od 1969 do 1977 roku. [Moje zainteresowanie literaturą wynikało z tego, że] jestem domowo obciążony –moja matka to polonistką. I jak się okazuje (co wynika z rozmów ze znajomymi), jest to bardzo częste. Ja byłem dzieckiem bibliotecznym, tak jak wiele osób z tego pokolenia. Biblioteka była moim drugim domem, dlatego że odkryłem ją dość wcześnie. To była Miejska Biblioteka Publiczna. Nawet gdzieś kiedyś pisałem o tym, że dobrym miejskim bibliotekom publicznym należy się bardzo ładny tekst. Tam były świetne zbiory. Na przykład tutaj na studiach nie można było dostać wcześniejszych rzeczy [Witolda] Gombrowicza, [Włodzimierza] Odojewskiego czy [Tadeusza] Konwickiego. Ja wypożyczałem te książki w bibliotece w Międzyrzeczu. Znajdował się tam osobny dział dziecięco-młodzieżowy z wolnym dostępem. Jak się okazuje, w tamtych czasach (czyli na przełomie lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych) to było bardzo rzadkie. I ja mogłem wśród tych książek buszować. Oczywiście to się jakoś dokonywało stopniowo, było jakieś przejście.

004 W czasach licealnych miałem okres odpoczynku od książek

Czytałem bardzo dużo. Później, w czasach licealnych, miałem okres, powiedziałbym, odpoczynku od książek. Wtedy czytałem bardzo mało. Analizując siebie, zauważam, że jest to pewien paradoks. Rozmawiam z wieloma osobami, które mówią, że w liceach miały najbardziej intensywny czas. [Franz] Kafka, [Fiodor] Dostojewski i tak dalej. Wszystko wtedy czytali. Ze mną było inaczej. Przeczytałem bardzo dużo rzeczy, ale to była dziwna literatura. Dlatego że nie sięgnąłem do takich żelaznych lektur ambitnego licealisty lat siedemdziesiątych. Wcześniej czytałem zupełnie inne rzeczy.

Pamiętam, fascynowały mnie książki geograficzne. Iskry wydawały taką serię „Naokoło świata” To były grube publikacje podróźnicze –w części klasyka jeszcze międzywojenna, ale głównie książki z PRL-u. Niektóre z nich czytałem po kilkanaście

razy. Nie wiem właściwie dlaczego. Tę serię kompletowałem dość długo. Nawet jeszcze w latach osiemdziesiątych kupowałem niektóre egzemplarze w antykwariatach. Wydawano w niej na przykład rzeczy [Olgierda] Budrewicza, książkę „Wyprawa Orinoko –Amazonka”[Alaina Gheerbranta]. Myślę, [że kierowała mną] jakaś potrzeba egzotyizmu czy bycia w innym świecie.

Gromadziłem też literaturę. Nie było wtedy przecież filmów ani na VHS, ani na DVD. Więc pamiętam, że jeździłem, gdzie tylko mogłem. W czasach licealnych pojechałem nawet do Wrocławia na jakiś festiwal. Do Warszawy również, bo to było stosunkowo blisko –sto kilkadziesiąt kilometrów.

005 Liceum w Międzyrzeczu Podlaskim

Uczęszczałem do liceum w Międzyrzeczu. Byłem najlepszym uczniem chyba w klasie i też wczesnym olimpijczykiem. Chodziłem do klasy biologiczno-chemicznej. Do pewnego momentu nie miałem zainteresowań polonistycznych. Myślałem o sobie jeszcze jakoś inaczej. Dzisiaj niektórzy życiorysy sobie troszkę wygładzają. A ja powiem tak: była olimpiada wojewódzka wiedzy o Polsce i świecie współczesnym, bardzo zideologizowana. Ale mnie ten przedmiot bardzo ciekawił wtedy. Interesowałem się tym, co się dzieje, coś podczytywałem. Byłem w pierwszej klasie liceum, kiedy wygrałem tę olimpiadę. Tak że później miałem już wstęp na studia politologiczne. Tyle że nie chciałem na nie pójść bez egzaminu.

006 Fascynacja skandynawskim filmem

Do dzisiaj moją prawdziwą fascynacją i drugą miłością jest film, zwłaszcza film skandynawski. [Ingmar] Bergman i nie tylko –Od kina niemego, od Victora Sjöströma, po to pokolenie postbergmanowskie. Oczywiście ten kanon bergmanowski i wokółbergmanowski. Bo Widerberg, Jan Troell i tak dalej. Ale nowego kina skandynawskiego już nie znam tak dobrze. To była moja fascynacja.

007 Mój pierwszy pomysł był związany z dziennikarstwem

W czasach licealnych nie myślałem o sobie jako o poloniście, w ogóle nie wiem do końca, o kim myślałem. Wiedziałem, że chcę coś robić, gdzieś pójść na studia. Mój pierwszy pomysł był związany z dziennikarstwem. W 1980 roku nie chodziłem jeszcze do czwartej klasy. Inne dziennikarstwo, inne gazety. Zupełnie nowe oblicze tego, czym ta dziedzina może być. W ostatniej chwili postanowiłem być dziennikarzem.

Zrobiłem jedną jedyną głupią rzecz. Ale myślę, że gdzieś jakieś losy dobrze mną pokierowały. Dziennikarstwo w tamtym momencie funkcjonowało tylko na Uniwersytecie Warszawskim jako odrębne studia przy naukach politycznych, czteroletnie jeszcze. To byłby bardzo zły wybór. Bo droga do tego zawodu prowadziła poprzez skończenie jakichś innych studiów. Ludzie uczęszczali na najrozmaite kierunki.

I gdzieś ktoś tam na górze pokierował tak, że ja, który byłem prymusem, olimpijczykiem (brałem też udział w olimpiadzie z języka polskiego), miałem dobre oceny, oblałem egzamin wstępny właśnie na to nieszczęsne dziennikarstwo. I bardzo się z tego cieszę. Dlatego że zacząłbym studia w 1981 roku. Nie miałem wówczas świadomości, że przecież właściwie za kilka miesięcy wprowadzono by stan wojenny. Byłby to zmarnowany czas, zmarnowane studia. Bo gdybym skończył je w połowie lat osiemdziesiątych, nie mógłbym pracować w zawodzie. Natomiast poza zawodem ta sytuacja też byłaby zupełnie inna. To jest do dzisiaj dziwne –nie jest to żadna mitologia tworzona po latach. Po prostu kiedy przeczytałem na tej „ścianie płaczu” moje nazwisko, to poczułem niesamowitą ulgę. Być może intuicja mi podpowiadała, że to nie jest to. A kiedy przyszedł grudzień 1981 roku, to doskonale wiedziałem, że pewne wydarzenia potrafią wyprzedzić nas i nasze myślenie oraz że gdzieś tam w coś się układają.

008 Pomaturalne studium ekonomiczne w Białej Podlaskiej

[Po tym, jak nie dostałem się na dziennikarstwo,] musiałem uciekać przed wojskiem. Dlatego że poszedłbym w tak zwane kamasze na dwa lata. To peerelowskie wojsko było nieszczęśliwe. Więc żeby się zastanowić, co mógłbym dalej robić, poszedłem do szkoły –o dziwo –ekonomicznej. To było pomaturalne studium ekonomiczne, finanse i rachunkowość przy zespole szkół ekonomicznych. Jeździłem do Białej Podlaskiej, jakkolwiek w Międzyrzeczu mieściło się liceum ekonomiczne. Później żałowałem, że jej nie skończyłem. Bardzo dobrze mi szło w przedmiotach ścisłych. Zresztą maturę z matematyki zdałem na piątkę –tak jak i z polskiego. Miałem dobre stopnie. Gdzieś tam mógłbym siebie widzieć inaczej. Te ekonomiczne rzeczy bardzo mi się przydały później przy „Kresach” konstruowanie budżetów, różne sytuacje, których większość środowiska nie znosi, a które trzeba zrobić albo też mieć do nich kogoś profesjonalnego.

009 Licealny kabaret „Żak”

W szkole ekonomicznej zaczęła się ciekawa rzecz. Tam pracował Tadeusz Gałęcki, polonista. I on z grupy uczniów z ekonomicznego studium policealnego czy pomaturalnego zrobił małą grupkę teatralną. Pamiętam, ten teatr się nazywał „Żak” W domu u matki mam nagrodę. Bo wygraliśmy jakiś wojewódzki konkurs teatrów czy teatrzyków szkolnych, nie szkolnych. Dokładnie już nie wiem, co to było. Wystawiliśmy wtedy montaż, nad którym pracowaliśmy. On był ciekawy literacko. Nie bardzo pamiętam, czy to miało miejsce w Lublinie, czy gdzieś indziej.

Do tego teatrzyku należało bardzo mało osób z technikum czy liceum ekonomicznego; większość była ze szkoły pomaturalnej. W „Żaku” działał kolega z Białej Podlaskiej, który dostał się do szkoły aktorskiej. Bardzo utalentowany. Natomiast zginął tragicznie. Po pierwszym roku był na Mazurach na jakimś obozie i tam się utopił.

Pan Tadeusz Gałęcki był rzeczywiście świetnym polonistą. Ja miałem ograniczoną wadę wymowy. I dla mnie było to o tyle istotne, że on mi potrafił jak gdyby ustawić głos. Tak że mogłem mówić w miarę wyraźnie czy dość wyraźnie. I później to mi się bardzo przydawało. Na przykład wiem, jak się wypowiadać w pewnych sytuacjach. Jakkolwiek na co dzień mówię trochę inaczej.

010 Postanowiliśmy zdawać na polonistykę na UMCS

Z kilkorgiem osób postanowiliśmy zdawać na polonistykę. To był taki bardzo przekorny moment, bo zdecydowaliśmy się na polonistykę UMCS-owską, a nie KUL-owską. Dlatego że na początku lat osiemdziesiątych niepokorna młodzież wybierała tę KUL-owską. Polonistyka na UMCS-ie była inna, inaczej ją postrzegano. Ja, jak wielu młodych ludzi, przeżywałem wtedy okres, kiedy KUL –to, co katolickie –bardzo źle mi się kojarzyło. To był mój wybór. Nie chciałem startować na polonistykę do Warszawy. Wydawało mi się, że to miasto będzie mnie bardzo męczyło. Zresztą nie wiem, czy zrobiłem dobrze czy niedobrze, dlatego że w Lublinie też długo nie mogłem się odnaleźć.

011 Lublin zrobił na mnie niedobre wrażenie

To jest może paradoks, ale przyjechałem do Lublina z małego miasta z pewną mitologią, z genetycznym (mówię tak sobie pół żartem, pół serio) wyposażeniem dziecka, którego przodkowie od pokoleń mieszkali jednak w dużym mieście. W latach osiemdziesiątych nie mogłem się odnaleźć w Lublinie. I moje czasy studenckie okazały się dobre w sensie kapitału –jak to się dzisiaj mówi –na przyszłość. Natomiast w dużym stopniu to było jednak obok miasta. I tak to dzisiaj odbieram.

Lublin zrobił na mnie niedobre wrażenie. Przede wszystkim był miejscem z wyłączonym starym miastem, na które strach się było zapuszczać. Właściwie mało się o tym pamięta. Oglądając czasami filmy peerelowskie z tych czasów, obserwuję to, co gdzieś tam mi się wbiło, ale też to, o czym starałem się zapomnieć –jak wielu chyba ludzi z tego pokolenia. To były bardzo ciemne miasta. Istniały jakieś restrykcje związane ze stopniami zasilania, z nieoświetleniem. Neony, które na przykład pamiętałem z lat siedemdziesiątych, z dzieciństwa, były powygaszane. Od listopada do marca duże miasta sprawiały wrażenie bardzo przygnębiające. Pomijając te wszystkie dookolne sytuacje. Było jeszcze coś takiego, że miasta zaczęły się sypać. Zarówno takie jak Lublin, jak i te poniemieckie.

012 Lata 80. to było wzięcie rzeczywistości w nawias

Pamiętam, lata osiemdziesiąte to było wzięcie rzeczywistości z jednej strony w pewien nawias. A jak można było wziąć w nawias? Czytać książki, oglądać filmy. I byłem właśnie takim namiętnym pożeraczem książek i filmów. U mnie to szło dwuaspektowo –do pewnego momentu jedno z drugim się wiązało. Natomiast wtedy nie byłem zaangażowany politycznie. Jakkolwiek miałem (dzisiaj dopiero to widzę)

dość naiwną wiarę w wyidealizowaną „Solidarność” To się przełożyło na moje losy po 1989 czy nawet jeszcze w 1988 roku. Myślę, że trochę dzielę z pokoleniem te różne fascynacje i wybory. Wtedy studia były też zideologizowane politycznie: ekonomia polityczna, studium wojskowe na którymś roku, jakieś jeszcze rzeczy. Ale też potężna dawka historii literatury, językoznawstwa czy przedmiotów, które mniej mnie wtedy interesowały.

013 Wykładowcy polonistyki na UMCS

Polonistyka UMCS-owska najlepszy okres miała od początku lat dziewięćdziesiątych. Wtedy stała się bardzo silna w sensie kadrowym. Natomiast w latach osiemdziesiątych wyglądało to inaczej. Niewątpliwie ważną osobowością był (wówczas doktor, dzisiaj profesor) Marek Kwapiszewski. Wspaniały dydaktyk. On miał zajęcia z romantyzmu. Można powiedzieć, że później ten romantyzm stał się moim zawodowym chlebem powszednim. Tak że to były spotkania ciekawe, fascynujące, inteligentne i bardzo błyskotliwe. Do dzisiaj pamiętam też zajęcia z historii języka z obecną panią profesor Marią Wojtak (wtedy albo magister, albo już doktor). Mnie interesowały kwestie historyczno-językowe, historyczno-literackie –w takim połączeniu. Oraz literatura współczesna, którą wtedy czytałem tak, jak się czytało. To były oczywiście egzemplarze drugoobiegowe, nad którymi człowiek ślęczał i tracił wzrok z powodu małego druku.

014 Literatura z drugiego obiegu

Zastanawiam się, czy [z drugim obiegiem nie zetknąłem się] przypadkiem jeszcze przed studiami. Wiem na pewno, że pierwszą rzeczą drugoobiegową, którą przeczytałem, była „Mała Apokalipsa”[Tadeusza] Konwickiego. Wiem, że przywiózł ją kolega mojej matki z Wrocławia. I ten egzemplarz miałem dosłownie na kilka godzin, dlatego że ten człowiek wyjeżdżał. Tylko dzisiaj nie pamiętam, czy to było w zapisie drukowane. Bo „Mała Apokalipsa”miała różne edycje. Nawet kiedyś widziałem na wystawie wydania nowe i miniaturowe. Ale mam wrażenie, że to był przedruk w jakimś drugoobiegowym czasopiśmie. I pamiętam to jako niesamowitą lekturę. To pozostaje w pamięci na ileś lat.

Później miałem też dostęp do drugiego obiegu przez zaprzyjaźnioną osobę pracującą w bibliotece. Potem te zbiory znajdowały się na KUL-u w prohibitach. Zresztą dużo osób to czytało. Natomiast mimo iż była jakaś inwigilacja, infiltracja (nie wiem jaka, bo nie wchodziłem w ten temat), to mnie to nie dotykało bezpośrednio. Wbrew temu, co dzisiaj niektórzy opowiadają. Pamiętam, że się nie kryliśmy z tym. I nikt nie miał problemów, że na studiach w gronie kilkunastu osób (bo nawet nie kilku, ale kilkunastu) wymienialiśmy się pewnymi rzeczami. Tyle że oczywiście to było gdzieś w czymś ukryte. Ale te książki krążyły. „Słuchaj, masz to, tamto” Nawet wiem, że były jakieś sprawy, załóżmy, karne. Bo to się odbywało w tym moim doświadczeniu biograficznym w jakiś przedziwny sposób.

Myślę, że ponieważ nie trafiłem do środowiska drukarsko-kolportażowego i nie byłem osobą zakonspirowaną, to te lata osiemdziesiąte pamiętam zupełnie inaczej. Mówiąc dzisiejszym językiem, dostawałem ten gotowy produkt z drugiego obiegu właściwie bez jakichś większych problemów czy komplikacji. Pamiętam, w którymś momencie tutaj w instytucie mieścił się kolportaż. I pewne rzeczy można było tam kupować. To jeszcze w czasie PRL-u, ale nie wiem, który rok. Może 1988 albo jeszcze 1987. Do dzisiaj mam zbiór „Kultur Niezależnych”(od któregoś numeru) w malutkich wydaniach. Bo tutaj jedna ze starszych koleżanek Ania Nosalska kolportowała tę „Kulturę Niezależną”i przy okazji inne książki. Myślę, że o niej wszyscy wiedzą, i że ci, którzy u niej czy od niej kupowali, są jej wdzięczni.

015 Paryska „Kultura”

Do „Kultury”sięgnąłem późno. Na pewno miałem w ręku jakieś pojedyncze numery. Natomiast pamiętam, że na początku lat dziewięćdziesiątych „Kulturę”czytałem właściwie w jakimś takim amoku lekturowym –tak bym powiedział –od deski do deski. Z tej lektury był pewien pożytek, dzisiaj to widzę. Ale to było jednak późne, na pewno po 1990 roku.

016 Książki, które wywarły na mnie wrażenie

Do dzisiaj pamiętam książki, które wywarły na mnie wrażenie. Teraz pewnie by tak nie było. Zresztą nie wracałem do tych rzeczy. To były książki [Kazimierza] Orłosia, [Tadeusza] Konwickiego (w latach osiemdziesiątych), Zyty Orszyn (którą zapomniano, a w tym roku dostała Nagrodę Literacką Gdynia i powtórnie o sobie przypomniła), „Raport o stanie wojennym”Marka Nowakowskiego. Myślę, że pierwszym i największym objawieniem był dla mnie [Włodzimierz] Odojewski i jego „Zasypie wszystko, zawieje...” A drugim [Aleksander] Sołżenicyn. To były dwie lektury z tych głębokich, jeśli chodzi o drugi obieg. I ja na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych bardzo szybko nadrobiłem zaległości. Wszedłem w tę problematykę tak, że nawet ośmieliłem się o tym pisać. Sporo pisałem o literaturze migracyjnej, bo poczułem się kompetentny. Mówiąc szczerze, z większością lektur zapoznałem się już po 1989 czy w okolicach 1989 roku.

017 „Człowiek i rewolucja w wybranych utworach romantycznych”

Na seminarium romantyczne przekierował mnie pan, obecny profesor, Marek Kwapiszewski. Ale seminarium prowadziła pani profesor [Alina] Aleksandrowicz, która jest specjalistką od preromantyzmu. Natomiast na UMCS-ie w tamtym czasie nie było specjalisty, profesora od literatury romantycznej. Więc się wahałem, czy nie pójść na seminarium z literatury współczesnej do profesora [Jerzego] Świącha. Wtedy profesor Świąch był docentem. Do ostatniej chwili nie mogłem się zdecydować, ponieważ interesowała mnie i jedna, i druga literatura. Dzisiaj nie potrafię powiedzieć, co przeważyło. Już nawet zaczynałem próbować sił krytycznych. To był ten moment

związany z literaturą współczesną.

Ostatecznie znalazłem się na seminarium romantycznym i tam napisałem pracę magisterską. Ona brzmiała w taki sposób: „Człowiek i rewolucja w wybranych utworach romantycznych” I tam poddałem interpretacji „Zamek kaniowski”[Seweryna] Goszczyńskiego, „Sen srebrny Salomei”[Juliusza] Słowackiego i „Nie-Boską komedię”[Zygmunta] Krasińskiego. Czyli problematyka historyzmu, jak radzi sobie człowiek wobec rewolucji. Bo romantycy jako pierwsi zmierzili się z nowoczesnym rozumieniem rewolucji, właśnie po rewolucji francuskiej. W swoich tekstach pokazali sytuację człowieka, który jest postawiony wobec wielkiej historii, wielkich sił i funkcjonuje tak czy inaczej. Myślę, że na wybór tej pracy wpłynął klimat lat osiemdziesiątych. Napisałem ją szybko, na piątym roku. Doktorat obroniłem w 1995 roku.

018 Praca na asystenturze

Podjąłem pracę już na piątym roku, bo istniała taka możliwość. To był styczeń 1987 roku. Przez kilka miesięcy pracowałem jako asystent stażysta, a później, do zrobienia doktoratu, zostałem asystentem. Początkowo jako asystent zajmowałem się literaturą porozbiorową. Napisałem nawet kilka rzeczy na ten temat. Zresztą ze zdumieniem zauważyłem, że te młodzieńcze rzeczy do dzisiaj są cytowane. Później ta problematyka stała się istotna. I do dzisiaj taka jest. Teraz formułuje się ją jako topikę ojczyzny wobec pewnych dyskursów somatycznych. Tak że to była ta problematyka. Wycofałem się z tego. Pomyślałem, że warto się zająć literaturą romantyczną. To były czasy, kiedy asystentura trwała długo i można było wziąć inny temat. Współcześnie w ramach studiów doktoranckich nie dałoby się pracować nad takim dużym tematem monograficznym. Wziąłem na warsztat Kornela Ujejskiego, jednego z najwybitniejszych krajowych romantyków. To był wybór celowy. Dlatego że w którymś momencie się zorientowałem, że mogę zrobić taką dużą pracę monograficzną, która mi da satysfakcję i może jakąś pozycję naukową. Z drugiej strony wiem –i do dzisiaj tak uważam –że wchodzenie w obszar literatury romantyzmu poprzez poetów obecnie drugorzędnych, ale w czasie, kiedy żyli, pierwszorzędnych i bardzo ważnych, ma sens.

To byli tacy poeci jak [Teofil] Lenartowicz, [Wincenty] Pol, [Kornel] Ujejski, [Józef] Bohdan Zaleski. Dzisiaj dla studentów polonistyki są to dość egzotyczne nazwiska. Ale w moich czasach znajdowały się jeszcze na liście lektur. Owych twórców uznawano za ważnych w obrazie romantyzmu. Dla młodego badacza przede wszystkim poznanie dorobków tych wieszczów od razu dawało możliwość skonfrontowania ich z dziełami największych romantyków. Czyli na twórczości, która tak czy inaczej odnosi się do romantyzmu, można było budować warsztat oraz przeanalizować aspekt nieobecny czy zaniedbany w badaniach. Myślę, że to była dobra szkoła i dobre rzemiosło. Tak że po kilku latach wydałem książkę. Nie spieszyłem się z tym, bo wówczas już, w latach dziewięćdziesiątych, bardzo mnie

zajmowały „Kresy” Pisanie bowiem doktoratu to równocześnie redagowanie „Kresów”

019 Powstanie „Kresów”

[W „Kresach” byłem od początku do końca. I od początku do końca działali jeszcze tylko Andrzej Niewiadomski i Dariusz Józwik. Natomiast powstanie „Kresów” każdy pamięta inaczej. Początki to Niewiadomski i Grzegorz Filip. Oni równocześnie zaczęli rozmawiać, montować i szukać, jacy ludzie, jaki zespół i tak dalej. Wydaje mi się, że nie warto sięgać w tak odległą perspektywę. Istniał jakiś pomysł. Miał go Grzegorz Filip i Andrzej Niewiadomski. Ale odnoszę wrażenie, że tak na prawdę projekt „Kresów” powstał w momencie, kiedy ta grupa osób po prostu się spotkała. I to zaiskrzyło.

Duży wysiłek w pierwszy numer „Kresów” podjęli Grzegorz Filip i Andrzej Niewiadomski. I mój udział był zdecydowanie na drugim planie. Oni dzięki pewnym kontaktom, znajomościom (osoba znająca inną osobę poleciła kogoś i tak dalej) stworzyli bardzo dobry zestaw nazwisk, który potrafił wzbudzić zainteresowanie.

Pod sam koniec lat osiemdziesiątych (bliżej powstania „Kresów” te instytucje podziemne (bo tak trzeba o nich mówić) znajdowały się już na powierzchni. Mimo iż formalnie schyłkowy PRL jeszcze trwał. Z czymś się można było liczyć, ale już nikt na to nie zwracał uwagi. Kiedy powstawały pierwsze numery „Kresów” to cenzura jeszcze funkcjonowała. My wiedzieliśmy, że nie będziemy do niej nosić tekstów. Uznaliśmy, że ich nie zaniemiemy i tyle. W ogóle nas żadna cenzura nie obchodziła. A ona zdychała. Nawet nie wiedzieliśmy, że cenzura już zdycha. Skąd mogliśmy wiedzieć, że wkrótce zostanie zniesiona? Bo zrobiono to w 1990 roku. Liczyliśmy, że jeszcze będzie istnieć w jakiejś formie. A prace nad „Kresami” były dużo wcześniejsze i jakoś specjalnie się ich nie ukrywało.

Dzisiaj początek gazety widzę inaczej. Można budować strategię pisma, tak jak to robiła rzeszowska „Fraza” Ale to jest, powiedziałbym, ślimaczenie –nie wiadomo, co z tego wyniknie. Pierwszy numer jest taki, drugi taki, trzeci trochę lepszy i tak dalej. I w którymś momencie się okazuje, że wyszło całkiem przyzwoite pismo, ale nie wiadomo, czy wystarczy nam cierpliwości. A my weszliśmy z „Kresami” inaczej. I istniał taki moment (krótki, bo krótki), kiedy nasz kwartalnik był najważniejszym pismem literackim. Jestem w stanie uchwycić i wskazać ten okres. Wydawało nam się, że potrwa dłużej, ale to już są sprawy niezależne od nas.

020 Ludzie tworzący „Kresy”

Pamiętam pierwsze spotkania „Kresów” Odbywały się na terenie uniwersytetu na polonistyce, w pokoju Grzegorza Filipa. Wiem, że u mnie też były. Przychodziły tam również osoby bardzo epizodycznie związane z kwartalnikiem, czyli Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki czy Adam Kalbarczyk (mój obecny kolega z polonistyki). Bardzo szybko dołączyli inni ludzie.

Pamiętam Piotra Koseckiego, wtedy absolwenta albo może jeszcze studenta historii

sztuki na KUL-u. To spotkanie odbywało się na pewno na pierwszym piętrze starej humanistyki. Bo Piotr nikogo nie znał, a wiedzieliśmy, że ma się pojawić ktoś nowy, jakiś historyk sztuki. I go rozpoznałem. Ktoś chodził, czekał. Zapytałem, czy przyszedł może na spotkanie „Kresów” „Tak” I to spotkanie było z pewnością u mnie w pokoju. Pamiętam, bo później rozmawiałem z Piotrem.

Wtedy na pewno już istniał tytuł kwartalnika. Podejrzewam, że kiedy działał ten skład, to już może mieliśmy pierwszy numer. Wspomniałem o Piotrze, który wprowadził później Magdę Ujmę. To była już pierwsza obsada „Kresów” Potem doszła Agata Kos i powstał najtrwalszy zespół, właściwie niezmienny. Jedyny moment zmiany stanowiło odejście Grzegorza Filipa w 1995 roku.

021 Pamiętam rozmowy z Andrzejem Niewiadomskim

Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że nie pamiętam rozmów ogólnych, tylko pamiętam swoje rozmowy z Andrzejem Niewiadomskim. Były to konwersacje na spacerach, które nie dotyczyły „Kresów” ale –jak się później okazało –miały pierwszorzędny wpływ na kwartalnik. Myślę zresztą, że wtedy zadzierzgnęła się między nami przyjacielska więź. Sądzę, że mogę tak powiedzieć. Była to relacja, jaka może zaistnieć między ludźmi, którzy są w stanie się zrozumieć (pomimo naszych bardzo odmiennych temperamentów), swoje wrażliwości, swoje spojrzenie nie tylko na literaturę, ale przede wszystkim na świat, życie. Myślę, że mieć takie jedno spotkanie w życiu to jest coś nieczęstego. Bo później na przykład można w lot robić pewne sprawy.

022 W każdą środę mieliśmy kolegium redakcyjne

Pierwsza faza działań „Kresów” trwała pięć lat. (Po odejściu Grzegorza Filipa była druga piętnastoletnia faza istnienia pisma.) Robiliśmy wtedy spotkania, zebrania –mimo innych dyżurów, rozmów. Wypadło mi z pamięci, w jakim to było dniu. I dopiero niedawno ktoś mi uświadomił, że odbywały się one w każdą środę po południu w redakcji. Były to kolegia redakcyjne. Te zebrania organizowaliśmy przed 1995 rokiem. A właściwie po 1995 roku zaczęliśmy od tego odchodzić –te typowo kolegielne spotkania stały się coraz rzadsze.

Natomiast w ich trakcie bardzo błyskawicznie można było stworzyć pomysł na numer. Rozumieliśmy się nawzajem. Istniały pewne hasła, wokół których każdy robił swoją działkę. I później na takiej zasadzie, że dobrze się rozumieliśmy, wiedzieliśmy, co może być zgrane. I tak tworzyliśmy kolejne numery. Dzisiaj, przeglądając czasami egzemplarze „Kresów” nie potrafię sobie wyobrazić, jak mogliśmy pracować w taki sposób. Kiedy opowiadałem o tym na zajęciach studentom, to oni nie mogli uwierzyć, że to nie było zaplanowane podręcznikowo –do tego autora to, tamto. To się zupełnie inaczej odbywało.

023 Tytuł „Kresów”

Myślę, że tytuł stworzył Andrzej Niewiadomski. Chociaż też do końca tego nie pamiętam. Wokół tej kwestii narosły różne mitologie. I to jest chyba naturalne. Odpowiedzialnie mogę powiedzieć, że ja na pewno nie wymyśliłem nazwy kwartalnika. Pamiętam, że były rozmowy na ten temat. I mnie się tytuł „Kresy” na początku bardzo nie podobał. Myślę, że wszyscy, którzy brali udział w tych spotkaniach, to pamiętają. Natomiast sam nie miałem dobrego pomysłu. Pamiętam też spotkanie, w trakcie którego padały inne nazwy i każdy kolejny pomysł był głupszy. Na przykład „Brama” bo Brama Krakowska.

Chcieliśmy pokazać miejsce, dlatego nie podobały mi się „Kresy”. Przecież Lublin nigdy nie był miastem kresowym. Stał się nim w sensie symbolicznym, dlatego że Stalin ustanowił granicę na Bugu. A Kresy zostały po tamtej stronie. I dzisiaj potocznie też mówią „wschód”. Jaki wschód? Tu jest przecież środek Polski. Tej dawnej Polski. Nie myślę tutaj o geografii rewizjonistycznej, tylko o symboliczno-kulturowej. I w tym sensie „Kresy” mi nie pasowały.

W tytule chodziło o to, żeby przypomnieć pamięć Kresów w mieście, które na początku lat dziewięćdziesiątych stało się miejscem promieniującym na wschód, które stało się (w dużym cudzysłowie) kresowe, bo pograniczne. Wówczas istniał jeszcze Związek Radziecki. Później były początki Ukrainy, Białorusi, Litwy i innych republik. Od razu się określiliśmy wobec nich, że nas nie interesują Kresy Wschodnie jako ziemie zabrane (bo to nie są nasze bezpośrednie historie), tylko jako pewna idea kulturowa. I z tego powodu się przekonałem później do tego tytułu. Ponieważ od początku wiedzieliśmy, że jako młodzi ludzie nie możemy wchodzić w skansen, bo będziemy wtórni. Natomiast musimy przypomnieć pamięć Kresów, zinterpretować ją, dać ją poprzez przypominane teksty, które na przykład do 1989 roku nie mogły być obecne w oficjalnym obiegu. Więc chcieliśmy dać je z komentarzami oraz z pracą badawczą.

To był pomysł na pismo o charakterze literackim i akademickim. Równocześnie kwartalnik ten miał kreować własne środowisko literackie, młodoliterackie i wnikliwie się przyglądać młodej literaturze. Nie chcieliśmy pójść w kierunku stricte młodoliterackich czasopism. Ich wydawano dużo. Trudniej by nam było startować z Lublina na pewne piętro, które już na początku zajęły „brulion”, „Czas Kultury”, „FA-art” czy jakieś inne pisma. Z drugiej strony nie chcieliśmy być kwartalnikiem wyłącznie akademickim i właśnie kresowym. Od samego początku mieliśmy karkołomny pomysł, żeby to połączyć.

Ale wtedy obawiałem się jednego, że tytuł „Kresy” ustawi nas w taki sposób, który wiąże się z całą konotacją tego słowa, że może Ukraińcy, Białorusini nie będą tym zachwyceni. Bo są różne dyskursy o Kresach. Nasz jest inny, ich jest inny. Na tym nam nie zależało. Ale ostatecznie przekonał mnie argument, że jeśli chcemy myśleć o jakiejś trwałości w kulturze, ciągłości, to nie możemy uciekać i nie możemy amputować pewnej pamięci, konstruując taką hybrydę, jaką dla mnie jest na przykład pogranicze. To skonstruować mogli w Szczecinie. I myślę, że już po dwóch, trzech

latach byłem przekonany do tego tytułu. Wydawało mi się, że to jest trafiony pomysł. Bo „Kresy” pokazały, że nie są jakąś rewizjonistyczną, nostalgiczną (tak bym to powiedział) gazetką, tylko normalnym, porządnym kwartalnikiem, który przypomina, pokazuje, interpretuje – także krytycznie – młodą literaturę ukraińską (przecież mnóstwo się tego ukazało) czy współczesne białoruskie teksty. Pokazuje też to, co dzisiaj się tworzy w polskiej literaturze.

Była taka sytuacja, kiedy w ostatnich latach życia [Jerzy] Giedroyc wypowiadał się z przekąsem (tak jak teraz Daniel Beauvois), że termin Kresy jest rewizjonistyczny i tak dalej. W redakcji uważaliśmy (ja do dzisiaj tak sądzę), że się mylą, dlatego że trzeba to widzieć w pewnej złożoności. Pismo miało symboliczny tytuł. Przede wszystkim istotna była symbolika kulturowa, i tylko taka. Natomiast nie można amputować pewnych tematów, pewnych terminów, bo w dłuższej perspektywie to się mści. Ja źle patrzę, powiedzmy, na to, że ten termin jest rewanżystowski, że uderzałby we wrażliwość Ukraińców. Wierzę w mądrość tych ludzi i w to, że elity intelektualne mają świadomość, czym są Kresy. To jest zupełnie inna sprawa niż rozpoznanie historyczne.

„Kresy” były pismem literackim, które poprzez tytuł chciało pokazać wagę pewnego doświadczenia (niekonieczne pogranicznego) na Kresach, na rubieżach. Chodziło też o przedstawienie pewnej tradycji i kultury, tak jak wspominałem. Ale równocześnie tę kulturę stale rewidowano. To nie był skansen. Publikowaliśmy wybrane książki kresowe. I to takie, które pokazywały to, co najlepsze – kresowy krem, byśmy powiedzieli. Poprzez dobór pewnych tekstów i tematów chcieliśmy pokazać inną tradycję. Na przykład pewien mit, czyli to, co nam niektórzy zarzucali, że nigdy nie istniało zgodne współżycie narodowości, kultur, religii, że jednak pojawiały się antagonizmy. To było dalekie nawiązanie do Giedroyciowej tradycji Polski jagiellońskiej – w taki dziwny sposób, jakby idee polityczne Giedroycia.

Wspominałem o „Kulturze” którą się zaczytywałem. Ta lektura wpłynęła na moje myślenie, ale nie w sensie politycznym, tylko kulturowym. Żeby nie tylko pokazać, co jest, ale również wykreować coś z tradycji. To wcale nie było myślenie anachroniczne. Wydaje mi się, że dzisiaj ono może być lepiej zrozumiane. I jest przez młodych ludzi. Nie tak dawno czytałem bardzo duży artykuł porównujący dwa programy z lat dziewięćdziesiątych: „Kresów” i „Zeszytów Literackich” W tekście młodego człowieka (tuż po trzydziestce) wybrzmiało, że ten program był taką rewitalizacją i reaktualizacją Kresów, a nie skansenową kresowością. Bo, tak jak mówiłem, to było zabójcze.

024 Nie mieliśmy pieniędzy na wydawanie miesięcznika

To był jeszcze czas, kiedy bardzo duża grupa ludzi kupowała miesięczniki. Dzisiaj trudno w to uwierzyć. Istniał zwyczaj, który zanikał czy zanika – sam nie wiem, jak to powiedzieć. W domach inteligenckich widziało się pisma, miesięczniki. „Kresy” stały się kwartalnikiem dlatego, że nie mieliśmy pieniędzy na wydawanie miesięcznika.

Zresztą byłaby to chyba zbyt duża akcja organizacyjna, która być może by nas przerosła. Wydawało nam się, że przy kwartalniku możemy połączyć swoje działania na uczelni z wydawaniem pisma.

025 Pierwszy numer „Kresów” wyszedł w nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy

Pierwszy numer wyszedł w nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy. Byliśmy zdziwieni, że w pierwszym momencie rozeszło się około dwóch i pół tysiąca egzemplarzy. Dzisiaj byłoby to czymś bardzo przyzwoitym. Praktycznie sprzedał się cały nakład. Teraz to jest wiadomość z kosmosu. Gdyby współcześnie wydawano czasopismo w takiej liczbie, to by się utrzymało. Zresztą –jak na tego typu wydawnictwo –mieliśmy duży nakład przez całe lata dziewięćdziesiąte. Jakkolwiek z czasem malał i w ostatnim roku zatrzymał się finalnie na ośmiuset egzemplarzach. A wcześniej przez kilka lat to było tysiąc numerów.

Od 1993 roku do okolic 2000 roku nakład wynosił trzy tysiące egzemplarzy. Wtedy był bardzo przyzwoity. Od czwartego, piątego albo od szóstego numeru (już nie pamiętam tego dokładnie) wydawaliśmy cztery tysiące egzemplarzy. Później utrzymywaliśmy liczbę trzech tysięcy numerów. To był jeden z wyższych nakładów. Wtedy realna sprzedaż wychodziła bardzo dobrze, bo ponad dwa tysiące stanowiło sprzedaż (do tego oczywiście zaliczało się bardzo dużą prenumeratę). Pamiętam, później zwiększyliśmy nakład, chyba nawet na trzy i pół tysiąca. To było wtedy, kiedy przez kilka lat mieliśmy prenumeratę wschodnią i zwiększyliśmy nakład o zakontraktowane egzemplarze. Tak to wyglądało chyba przez trzy lata i później już przedłużono numery. Tak że istniała możliwość stałego dochodu i nawet kilka osób było zatrudnionych. To byli ludzie, którzy czekali na etaty na uczelniach, na przykład historycy sztuki. Jak pamiętam, na tamte czasy mieli nie takie małe pieniądze. Mogli się w miarę przyzwoicie utrzymać, wynajmując mieszkanie, coś kupić na grzbiet, coś zjeść.

026 Jesteśmy obecni w bibliotekach na Wschodzie

Jesteśmy na pewno obecni w bibliotekach na Wschodzie, dlatego że Fundacja [Stefana] Batorego subsydiowała prenumeratę wschodnią. Ukraina, Białoruś, Rosja, Kazachstan. I pewnie gdzieś jeszcze, ale w tym momencie już nie pamiętam gdzie. Wysłaliśmy tam chyba kilkaset egzemplarzy do bibliotek, i to do bibliotek akademickich. Tak że na Wschodzie nie mają całości „Kresów” Ale myślę, że w bardzo wielu miejscach są solidne komplety kilkudziesięciu egzemplarzy z lat dziewięćdziesiątych. I to zostanie.

027 Niepotrzebne były duże pieniądze do wydania pisma

Najpierw się okazało, że wystarczy nieduże pieniądze. Mieliśmy wsparcie Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ i coś jeszcze. Naprawdę niepotrzebne były duże pieniądze, żeby można było wydać pismo. Przez pierwsze lata nie mieliśmy stałej

dotacji. Dostawaliśmy pieniądze z Urzędu Wojewódzkiego (teraz Urząd Marszałkowski) oraz Urzędu Miasta, z Fundacji Idę i z Fundacji Batorego. Były też fundacje Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej oraz Pro Helvetia, które nas finansowały. I w latach dziewięćdziesiątych tak to wyglądało.

Od któregoś momentu Ministerstwo Kultury zaczęło wspierać czasopisma. Z dzisiejszej perspektywy to był jakiś banał. Wystarczyło na maszynie wystukać wniosek, dać preliminarz (nawet naprędce sklecony) i dostawało się pieniądze. Według tego preliminarzu należało je oczywiście wydać. Ale sprawy obsługi i organizacji to zupełnie inny świat. Było łatwiej, lepiej. Nie było to zrygoryzowane, nie istniała słynna czy wręcz nieszczęsna ustawa o zamówieniach publicznych, która dała nam się we znaki po 2000 roku. I –co było ważne –przez lata mieliśmy stałą dotację ministerialną. Dochodziły do tego lokalne dotacje, czyli z ówczesnego Urzędu Wojewódzkiego i Urzędu Miasta. Ale one były małe, to nie była ta skala. I w latach dziewięćdziesiątych mieliśmy bardzo dobre budżety plus z Fundacji Batorego oraz innych fundacji na pozyskiwanie pewnych materiałów.

Natomiast później, do 2003 roku, bardzo ważna była stabilizacja finansowa. Wiedzieliśmy, że dostaniemy pieniądze z ministerstwa, bo wśród priorytetów była obecna inicjatywa. I teraz, jak byłem ekspertem i rozmawiałem z ludźmi, którzy wtedy też pracowali, to się dowiedziałem, że sprawą oczywistą było to, że istniała grupa czasopism poza wszelką dyskusją. Dzisiaj to trzeba przeliczyć na punkty i tak dalej. Że one są ważne z punktu widzenia kultury narodowej, ogólniejszej –tak trzeba powiedzieć. I gdybyśmy nie działali, to nikt, żaden Lublin, nie dałby nam tych pieniędzy.

Bardzo dobrze wspominam współpracę z Urzędem Miasta, która się dobrze układała. Natomiast od pewnego momentu współpraca z Urzędem Marszałkowskim była fatalna. W ostatnich latach nawet nie składaliśmy tam wniosków, dlatego że byliśmy złośliwie sekowani na poziomie formalnym. Drobne błędy stanowiły podstawę odrzucenia, chociaż, jak się okazuje, nie musiały być (wiem, jak to wygląda w innych programach). Po prostu wdarła się tam tandetna polska pseudopolityka. Tyle że mieliśmy bardzo małe pieniądze z Urzędu Miasta. A od momentu, kiedy w ministerstwie zmieniły się projekty, weszło nowe prawo, okazało się, że co roku trzeba zdobywać pieniądze i pół roku na nie czekać. Z tym że na sto procent nie wiedzieliśmy na przykład, czy dostaniemy te pieniądze. Liczyliśmy, że tak. I tak robiliśmy to pismo awansem.

028 Podział obowiązków w „Kresach”

W „Kresach” zajmowałem się krytyką literacką oraz eseistyką. Andrzej Niewiadomski poezją, prozą i przekładami. Historycy sztuki, czyli Piotr Kosecki i Magda Ujma, swój dział robili bez ingerencji. Mieli pełną swobodę i od początku świetnie się wpasowali w profil pisma. Darek Józwick prowadził dział varia, spacer, poczta kresowa i wspomnienia, archiwum –czyli tak zwane plecy, jak mówiliśmy. Natomiast Agata Kos

była u nas dziesięć lat. Od 1993 do 2003 roku. Prowadziła dział recenzji, ale równocześnie sporo tekstów zamawiała do działu krytycznego czy eseistycznego. Wprowadzała tutaj pewne pomysły. Ale ja też na przykład wchodziłem w niektóre rzeczy z jej działki. I to się odbywało bezkonfliktowo. Zdzisław Kudelski nigdy nie należał do w redakcji, ale do samego końca był z nami bardzo blisko związany. Przynosił gotowe bloki poświęcone literaturze emigracyjnej. To była wymarzona sytuacja, dlatego że on znajdował się bardzo blisko, wiedział, co chcemy i montował. Nieodżałowana świętej pamięci Małgosia Kitowska stale była blisko. Jakies trzy numery zrealizowała samodzielnie. Przygotowała też bardzo wiele rzeczy we współpracy z Piotrem i Magdą. Tak że mieliśmy szczęście do ludzi.

029 Grzegorz Filip i jego odejście z „Kresów”

To są sprawy, które dzisiaj może już niespecjalnie kogokolwiek interesują. Ale trzeba powiedzieć uczciwie i szczerze, że przez ostatni czas (nie wiem tylko, czy rok, czy dwa lata przed odejściem) współpraca Grzegorza Filipa z zespołem nie układała się dobrze. Grzegorz (tutaj mogę chylić przed nim czoło) wiedział, kiedy odejść. To jest pewna klasa. On miał świadomość, że pismo nie funkcjonowałoby, jeśliby się uparł i został. Bo mógłby tak zrobić. Mógłby być redaktorem naczelnym. Natomiast przy pewnej kontrze i pewnym niedobrym nastawieniu to by się nie udało. Wtedy wszyscy byśmy odeszli. Po prostu nie byłoby pisma takiego, jakim było. Grzegorz w „Kresach” działał do 1995 roku. Odbyło się to w ten sposób, że zakomunikował odejście i tak dalej. Pożegnanie było chłodne, ale myślę, że rozstaliśmy się w miarę przyzwoitej atmosferze. Trzeba też szczerze powiedzieć, że kontakty praktycznie zostały zawieszane. On poszedł swoją drogą. Ja zostałem redaktorem naczelnym nie dlatego, że chciałem nim być, tylko w wyniku pewnej sytuacji kryzysowej.

030 Redaktor naczelny „Kresów”

Dla mnie rok 1995 był i ważny, i nieważny. Dlatego że zostałem redaktorem naczelnym w wyniku presji zespołu. Po prostu moje koleżanki i moi koledzy, mówiąc w dużym cudzysłowie, dokonali na mnie pewnego szantażu: „Jak nie, to...” Podjąłem się tego z pełną świadomością, że dla mnie będzie to związane ze spowolnieniem kariery naukowej. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, wiem, że habilitację mógłbym napisać dużo wcześniej. Nie miałbym biurokratyczno-organizacyjnej mitręgi, którą musiałem ciągnąć przez lata. Dlatego to była jakaś cezura. Ale istnieją cezury instytucjonalne, że początki są inne. Było trudno i tak dalej. Ale fala entuzjazmu, małe pieniądze, wszystko zrobimy –to sprawiało, że przez rok, dwa lata można było coś zrobić. Dzisiaj jest pewnie inaczej.

Z czasem praca nad „Kresami” stała się łatwiejsza. Jest coś takiego jak rutyna redakcyjna. Trzeba było się nauczyć pewnych rzeczy, które można błyskawicznie wymyśleć i zrobić, a co wymagało wiele pracy. Nawet takie kwestie adiustacyjne –na początku traciłem mnóstwo czasu, ślęcząc nad tekstami. A i tak nie było to zrobione

tak, jak trzeba. Później te rzeczy robiło się błyskawicznie. Montowanie bloku. Wymyślanie, jakich aut orów zaprosić, kto będzie. Ten autor odpowiedział, tamten nie odpowiedział; ten przyśle tekst, tamten nie przyśle –i tak dalej. Potem to się odbywało w ten sposób, że miałem na warsztacie kilka pomysłów, nad którymi pracowałem i panowałem. To było zaprojektowane na najbliższe dwa czy trzy lata z możliwością przesunięcia tekstu przeznaczonego pierwotnie do innego bloku. On pójdzie w to miejsce, bo w tym momencie fajnie mi tu pasuje.

Wypracowałem inny model pracy, nie wiem czy dobry. Dzisiaj mam zupełnie odmienną tego ocenę. Wtedy mi się wydawało, że to był dobry układ –partnersko-kumpelski. Teraz, kiedy jestem starszym człowiekiem, wiem, że redaktor naczelny powinien jednak rządzić bardziej twardą ręką. Natomiast w którymś momencie zacząłem uznawać, że pewne rzeczy sam zrobię najlepiej. I to jest też niedobra cecha. To jest równia pochyła, bo człowiek bierze na siebie bardzo dużo obowiązków. W którymś momencie też spadły na mnie czynności administracyjno-organizacyjno-finansowo-rozliczeniowe. Wziąłem na siebie ten ciężar na dziesięć lat –od początku 2001 roku. Oczywiście we współpracy z księgową. I te sprawy rozliczeniowo-finansowe były dla mnie okropnym brzemieniem.

Zawsze mieliśmy profesjonalną księgową panią Halinę Stelmasiak. Pracowała z nami od 1993 roku. Do dzisiaj zresztą utrzymujemy kontakt. Pani Halina pracowała w instytucjach kulturalnych, czuła ich specyfikę. Jest to osoba o wielkiej wiedzy i dużej kulturze. Ponadto potrafiła też nauczyć. Mnie nauczyła. Wspominałem wcześniej, że uczęszczałem do szkoły ekonomicznej. Byłem więc jej pojętym uczniem. I kiedyś pani Halina powiedziała: „Dlaczegoż pan nie skończył tej szkoły? Miałby pan dobry fach i trochę lepszy kawałek chleba” Pewnie tak.

031 Siedziba „Kresów”

Najpierw siedziba „Kresów”(i to jest w numerach) znajdowała się na ulicy Bursztynowej, czyli w prywatnym mieszkaniu Grzegorza Filipa. A jeszcze wcześniej w mieszkaniu wynajmowanym przez niego na ulicy Lubartowskiej. Tylko że on nie podawał tego adresu. Przez jakiś czas użyczało nam lokalu Centrum Kultury. Tam siedzieliśmy kątem przy pewnym zespole Promocji Twórczości i Kultury (jeśli to się tak nazywało, ale mogę być w błędzie). Na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy musieliśmy odejść z Centrum Kultury, otrzymaliśmy lokal na ulicy Chopina pięć. I tam mieliśmy pierwszą siedzibę –jeden z dwóch prawdziwych adresów redakcyjnych. Myślę, że to był 1992 rok.

„Kresy”mieściły się na ulicy Chopina pięć chyba do 1999 albo 2000 roku. Potem przenieśliśmy się na ulicę Peowiaków. Wynajmowaliśmy nieduże pomieszczenie od Centrum Kultury, płacąc czynsz. I redakcja znajdowała się tam do końca, do 2010 roku. Adres „Kresów”to była ulica Peowiaków dwanaście, kod pocztowy Lublin. I poczta przychodziła tam, nie na Centrum Kultury. Tak że ten budynek był takim łącznikiem. Na dole mieścił się kserograf i Fundacja Fuga Mundi. My zajmowaliśmy

pomieszczenie na samej górze. Przez jakiś czas mieliśmy po sąsiedzku Mirka Haponiuka ze swoją inicjatywą wydawniczą. Uleciał mi w tym momencie tytuł. Później na drugim piętrze już byliśmy tylko my.

032 „Kresy” od strony technicznej

Od początku mieliśmy drukarza Wojtka Guza. On dzisiaj jest biznesmenem, ma profesjonalną, znakomitą firmę. Ale wtedy był drukarzem o podziemnym rodowodzie z Regionu Środkowo-Wschodniego [NSZZ „Solidarność”. To przedsiębiorstwo przez krótki czas funkcjonowało jeszcze na ulicy Królewskiej. Tam właśnie pracował Wojtek. Początkowo drukowaliśmy na maszynach Regionu Środkowo-Wschodniego. Robiliśmy to na zasadzie usługi poligraficznej: wystawiano nam fakturę czy rachunek, a my płaciliśmy za usługę. Drugi numer drukowaliśmy przy ulicy Unickiej w LZGraf-ie. Dzisiaj to się inaczej nazywa. Kolega Adam Kalbarczyk pożyczył od ojca fiata 125p, którym przewieźliśmy nakład na uczelnię. Tam walcowaliśmy, czyli ręcznie składaliśmy składki. Później to się zawoziło gdzieś do klejenia. Dopiero wtedy można było odebrać nakład. Chodziło też o to, żeby obniżyć koszty.

Później Wojtek Guz założył własną firmę i byliśmy już jemu wierni. Jego drukarnia mieściła się w różnych miejscach: przez jakiś czas była na Czwartku, później na ulicy Chemicznej, a przez ostatnie lata w pomieszczeniu po FSC na ulicy Tokarskiej. To już jest rzeczywiście bardzo nowoczesne, znakomite przedsiębiorstwo.

Przy pierwszych egzemplarzach maszynistki w biurze NOT-u przepisywały nam (na umowy) maszynopisy albo rękopisy autorskie do postaci znormalizowanego maszynopisu. Na tym robiliśmy redakcję tekstu i dawaliśmy to później do składu. Dopiero potem dokonywano pierwszej korekty. To było bardzo długie i bardzo uciążliwe. Pierwsze składy robił zecer –nie istniały jeszcze komputerowe. To było zupełnie coś innego. Składy komputerowe weszły nieco później. I te edytory wszystko zrewolucjonizowały w sposób niesamowity. Nauczyliśmy się ich obsługi sami gdzieś w 1994, 1995 roku. Wówczas w Lublinie niewiele osób potrafiło profesjonalnie przepisać i wstępnie złożyć teksty. Tak że później dawaliśmy je do łamania i druku. Ale to już była pełna rewolucja.

Za redakcją techniczną od 1993 roku do końca odpowiadał Andrzej Wojtowicz, były redaktor techniczny Wydawnictwa Lubelskiego. Starszy od nas. Człowiek, który miał otwartą głowę i który czytał. Współredagował też pismo. To był redaktor techniczny, jakiego można sobie wymarzyć. Powiedzmy, nie techniczny, ale z naciskiem na redaktor.

Format „Kresów” się zmienił jeden jedyny raz. Numery jeden, dwa i trzy były mniejsze. To był format zeszytowy. Natomiast później już utrzymywaliśmy stałe wymiary pisma.

033 Od lat 90. numery „Kresów” były łączone

Od końca lat dziewięćdziesiątych łączyliśmy numery „Kresów” W ciągu roku był jeden

taki egzemplarz. Robiliśmy tak z uwagi na sprawy finansowe, na system pozyskiwania dotacji. W latach dziewięćdziesiątych konkursy dotacyjne odbywały się błyskawicznie. Nie były sformalizowane. Dzisiaj to wygląda zupełnie inaczej. Znam to od podszewki, jako że pełniłem funkcję eksperta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w programie Czasopiśmiennictwo.

Teraz procedura trwa pół roku, a pieniądze redakcja dostaje realnie po dziewięciu miesiącach od złożenia wniosku. W tamtych czasach to wyglądało tak, że samo ministerstwo albo urząd (dzisiaj to jest sytuacja w ogóle niewyobrażalna), urzędnicy dzwonili i zapraszali do składania ofert. W każdej chwili służyli pomocą. Wystarczyło złożyć preliminarz i przedstawić to, co było zrobione. To wystarczyło. Komisja, która przydzielała dotacje, wiedziała, że jacyś ludzie robią pismo i że jest ono sprzedawane. Dawaliśmy, powiedzmy, nakład taki, sprzedaż taka, tutaj są obecne. Nie jest to działalność hobbystyczna, ale coś z tego jest: rozliczenia, rachuneczki i tak dalej. To się odbywało szybko i składnie. Wtedy można było wydawać numery w cyklu kwartalnym.

Później nastąpiła zmiana tej polityki: sformalizowanie, wydłużenie, komisje, nie komisje i tak dalej. To wszystko spowodowało, że numer pierwszy musiał być łączony – numer jeden, dwa. A to dlatego, że pieniądze realnie otrzymywaliśmy najwcześniej w marcu, ale transzę ministerialną dostawaliśmy w okolicach lipca albo sierpnia, czyli grubo po połowie roku. Tak to wyglądało.

„Kresy” były więc kwartalnikiem i w ciągu roku ukazywały się cztery jego numery. Natomiast od 1998, może 1999 roku publikowaliśmy trzy egzemplarze w roku, czyli jeden numer był łączony, dwa kolejne pojedyncze. Ale nie tylko my tak robiliśmy. Właściwie większość pism musiała wydawać w taki sposób.

034 Autorzy piszący dla „Kresów”

Mieliśmy zespół współpracujących autorów. Myślę, że do pewnego momentu autorem spoza redakcji, ale bardzo blisko z nami związanym, był Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki. Nie tylko regularnie drukował wiersze, ale publikował też pod pseudonimami (nie pod jednym) osobną rubrykę poczty kresowej. Pisał do niej bardzo ciekawe, dosyć ekscentryczne eseje, których wybór później wydał w postaci książkowej. Tę rubrykę prowadził chyba przez dziesięć lat – od początku istnienia pisma, od pierwszego numeru, do 2000 roku.

Do końca „Kresów” mieliśmy Andrzeja Niewiadomskiego jako nie tylko redaktora, ale także poetę. To on wpadł na pomysł pokazania innego nurtu w kręgu poezji najmłodszej. W ramach Biblioteki „Kresów” wydaliśmy tomiki Andrzeja Sosnowskiego, Darka Foksa, Tadeusza Pióry. Publikowaliśmy oczywiście jeszcze inne rzeczy, na przykład książki krytyczne i dokumentalne. Ale seria „Kresów” w której ukazały się tomiki poezji, pokazywała pewne odrębne zjawisko. Później ci ludzie poszli w inną stronę. To jest też sprawa tego rodzaju, że najpierw w Legnicy, a teraz we Wrocławiu powstał ośrodek Port Legnica (teraz to się nazywa [Port Literacki Wrocław]), który

skupił przy sobie poetów. Natomiast w latach dziewięćdziesiątych ci twórcy (jeśli chodzi o te młode nazwiska) byli bardzo kojarzeni z „Kresami”

W naszym kwartalniku regularnie pojawiało się mnóstwo innych twórców. Pisałem kiedyś nawet hasło do leksykonu pism literackich i wypisałem sobie te nazwiska. Sam byłem zdumiony, że właściwie poza [Czesławem] Miłoszem, [Wisławą] Szymborską czy Ewą Lipską wszyscy najwięksi poeci drukowali w „Kresach” Od pokolenia „miłoszowego” po najmłodszych twórców. To o czymś świadczy. Był [Zbigniew] Herbert, [Tadeusz] Różewicz oraz Julia Hartwig. Z prozaików wielokrotnie publikowaliśmy [Gustawa] Herlinga-Grudzińskiego i [Włodzimierza] Odojewskiego. Później można byłoby tak ciągnąć po twórców dzisiejszego średniego czy młodszego pokolenia.

035 „Kresy” Archiwalia i bloki poświęcone zmarłym poetom

Teksty osób, które już nie żyły, ukazywały się na zasadzie archiwaliów z komentarzem krytycznym. Mieliśmy taką wielką rolę. Niby nie trzeba siebie chwalić, ale w tym przypadku mogę, bo to nie ja za to odpowiadałem. Mianowicie w „Kresach” bardzo konsekwentnie ogłaszaliśmy archiwalia emigracyjne. Robiąc przegląd kwartalnika, można zauważyć, że rzeczywiście udostępnialiśmy i profesjonalnie opracowywaliśmy wielki blok tekstów –głównie listów, ale nie tylko –twórców emigracyjnych.

Natomiast w początkach pisma był na przykład blok poświęcony Zygmuntowi Hauptowi. (Tak na marginesie, to jest wielka miłość Andrzeja Niewiadomskiego. On poświęcił mu książkę i napisał jego monografię –teraz sfinalizował tę pracę.) Zygmunt Haupt był pisarzem, który za życia wydał chyba jedną książkę. Kolejny tomik wyszedł po jego śmierci. Miał szczupły dorobek, ale poświęcono mu kilka książek. I Haupt swoimi tekstami bądź tekstami o nim był obecny w „Kresach” kilka razy.

Na łamach kwartalnika przypomnieliśmy też francuską pisarkę Rosę Bailly. Ona drukowała teksty o twórczości kresowej czy w ogóle o Kresach w londyńskich wiadomościach. I my za londyńskimi wiadomościami to przedrukowaliśmy. W początkach pisma publikowaliśmy też przedruki od Jerzego Giedroycia. Zgodę na nie otrzymywaliśmy od niego bez żadnych problemów. Chodziło tutaj o prezentację postaci, które były słabo znane.

Natomiast jeśli chodzi o twórców nieżyjących, to drukowaliśmy pewien kanon klasyki literackiej w nowych przekładach różnych tłumaczy. W „Kresach”ukazało się tego mnóstwo. Nie sposób wszystkiego wymieni.

036 Ludzie wraz z „Kresami”wchodzili w czytelniczą młodość

W tamtych czasach istniał taki zwyczaj (dzisiaj go już nie ma), że w czasopiśmie wysokonakładowych, ale też w miesięcznikach, tygodnikach oraz dwutygodnikach były rubryki informujące czytelników, co się dzieje w pismach literackich. Na przykład kiedy sięgniemy do pierwszych egzemplarzy „Gazety Wyborczej” to zobaczymy, że

tam kapitalną rubrykę prowadzili Danuta i Jerzy Sosnowscy. Zresztą Danuta przez kilka lat z nami współpracowała. Oni na bieżąco omawiali w atrakcyjny, znakomity sposób nowe numery czasopism literackich. To było w latach dziewięćdziesiątych. Później „Gazeta Wyborcza” z tego zrezygnowała, ale nie tylko ona. Jeśli chodzi o pierwsze numery, to pojawiało się mnóstwo omówień „Kresów” – od „Kultury” przez „Gazetę Wyborczą” radio i telewizję. Szum niesamowity. Dzisiaj znów kultura wysoka została zepchnięta do narożnika. Trudno sobie to wyobrazić.

Mam sygnały od ludzi –zwłaszcza po tym, jak pismo przestało istnieć –którzy wchodziłi w młodość czytelnictw z „Kresami” Mieszkając na przykład gdzieś na Dolnym Śląsku, pod Zieloną Górą czy na Lubelszczyźnie (w małych miejscach, gdzie padały księgarnie i gdzie dostęp do książki był inny na początku lat dziewięćdziesiątych), czytali w gazetach codziennych, że istnieje pismo literackie „Kresy” I na przykład czytali ten kwartalnik w bibliotece albo jechali do większego miasta i tam je kupowali. I na tym się wychowywali. W jakimś tam stopniu oczywiście. To były dla mnie niesamowite wyznania.

037 Pożegnaliśmy się z „Kresami” będąc zmęczeni sytuacją

Muszę powiedzieć, że to była dziwna historia. Kilka razy w życiu miałem intuicję –tak jak przeczucie, że coś się zdarzy ze studiami. Składając ostatni wniosek do ministerstwa, naprawdę wiedziałem (i niczego nie konfabuluję), że coś z tym programem będzie nie tak. Rzeczywiście, okazało się, że nabór był poprowadzony, ale w ciągu jednego dnia na stronie internetowej pojawiła się informacja: „Nabór został zamknięty” On nie był zamknięty. Ja o tym napisałem wprost. Ale wiedziałem, że tak może być. Wiem, że strasznie męczyłem ten wniosek. Może się pomyliłem, może on był niedobry. Ale miałem poczucie, że doszliśmy do jakiejś ściany i że dalej już się tak nie da. Pożegnaliśmy się z „Kresami” będąc już zmęczeni sytuacją. I to była ulga. To może głupio zabrzmieć, ale przez rok bardzo się cieszyłem, że wreszcie nie ma tych „Kresów” Że został zdjęty ciężar, który mnie przytłaczał.

Spośród powodów [zamknięcia „Kresów” zwracam tu uwagę na jeden: na biurokratyczną mitręgę. W 2004 roku Piotr Marecki przeprowadził ze mną rozmowę do książki zatytułowanej „Pospolite ruszenie” To były rozmowy z redaktorami najważniejszych pism kulturalnych (nie tylko literackich), które się ukazywały po 1989 roku. Ja już wtedy miałem poczucie, że dzieje się coś niedobrego z biurokratyzacją, która nas dopadła i sprawiła, że trzeba było poświęcać wiele rzeczy, przede wszystkim wiele czasu i energii. Ponadto tworzyła zbyt dużo napięć.

Z drugiej strony jak człowiek czegoś nie lubi, to psychicznie ma poczucie, że jest nie w tej bajce, w której powinien być. Ja tego nie lubiłem robić, a musiałem. Teraz na przykład brakuje mi redagowania. Bo to jest coś, co lubiłem. Ale od 1995 czy może od 2000 roku (bo koniec lat dziewięćdziesiątych był jeszcze inny) okazało się, że załóżmy na sto procent czasu redakcyjnego chyba z osiemdziesiąt procent musiałem poświęcać na biurokratyczne i organizacyjne sprawy.

038 Wśród twórców była moda, żeby drukować w „Kresach”

Natomiast po zamknięciu pisma ludzie pisali mi takie rzeczy, że zacząłem się zastanawiać: Boże, przecież to miało jakiś sens, to docierało. Były oczywiście takie czy inne świadectwa odbioru, ale my wiedzieliśmy, że to pismo od razu żywo gdzieś tam weszło. Zresztą wśród twórców pojawiła się moda, żeby drukować między innymi w „Kresach” To nie było tak, że istniało dwadzieścia pism, w których publikacja nobilitowała, tylko „Kresy” zaliczały się do kilku periodyków, gdzie druk był nobilitujący.

Jeśli chodzi o dział krytyki akademickiej, to udało mi się utrzymać go do samego końca. I dzisiaj jest dyskusja o parametryzacji w nauce, czyli jak należy punktować humanistów i tak dalej. Nie tak dawno ktoś napisał, że dla niego ważniejszy był druk artykułu w „Kresach” niż w jakimś periodyku uniwersyteckim (za co dzisiaj dostałby ileś punktów). On wiedział, że jego tekst znajduje się w porządnym piśmie, które dociera do różnych odbiorców.

Zresztą wtórnie można powiedzieć, że bardzo dużo tekstów w książkach literaturoznawczych –nie tylko poświęconych literaturze najnowszej –wchodziło w skład periodyku na zasadzie takiej jak teksty z pism naukowych. I gdzieś od końca lat dziewięćdziesiątych po ten 2010 rok być może nie było praktycznie książki naukowej z literatury współczesnej, w której nie przywołano by przynajmniej jednego artykułu z „Kresów” Tak że tutaj było takie pole rażenia. Trzeba dodatkowo powiedzieć, że pewne inicjatywy, ankiety, dyskusje czy debaty (te głównie z lat dziewięćdziesiątych) dzisiaj funkcjonują już jako kanoniczne i są przedmiotem opisu. Natomiast w tamtych czasach mieliśmy świadomość, że one coś ważnego inicjują. Dzięki temu też ci nowi ludzie chcieli tu drukować, chcieli być w piśmie, o którym jest głośno.

039 Powstawały prace magisterskie odnoszące się do „Kresów”

W każdym roku dostaję pytania od magistrantów z bardzo różnych uczelni. Studenci często zajmują się jakimś wycinkiem twórczości, która była prezentowana w „Kresach” Wiem na pewno (bo miałem je w ręku), że powstawały prace magisterskie odnoszące się do pewnego programu czy projektu naszego kwartalnika lub do dyskusji, które się u nas pojawiały. Zwłaszcza do dwóch zainicjowanych przeze mnie. Jedną z nich była debata „Na powierzchni literatury i w środku” Ona okazała się ważna i stała się przedmiotem bliższej uwagi w dwóch pracach magisterskich. Nie wiem, czy cokolwiek o „Kresach” powstało na UMCS-ie. Wydaje mi się, że ja i Andrzej Niewiadomski pozostawialiśmy tam tę kresowość na drugim planie. Nie eksponowaliśmy tego specjalnie –nie wiem, czy dobrze czy źle. Prowadziliśmy inną działalność naukową.

040 Biblioteka „Kresów”

Biblioteka „Kresów” była wydawnictwem charakterystycznym dla lat

dziewięćdziesiątych. W tamtej dekadzie, kiedy dużych wydawnictw nie interesował druk młodej poezji, kiedy padły wcześniejsze inicjatywy i serie wydawnicze, okazało się, że nie ma kto wydawać przede wszystkim poezji, ale także eseistyki i krytyki literackiej. To się zmieniło od końca lat dziewięćdziesiątych. Ale były takie inicjatywy: Biblioteka „brulionu” Biblioteka „Czasu Kultury” Biblioteka „Kresów” Biblioteka „FA-artu” Biblioteka „Pracowni” I w ich ramach, w tym u nas, ukazało się kilkanaście książek, głównie tomików wierszy.

Biblioteka „Kresów” powstała w 1990 roku. Pierwszymi wydanymi publikacjami były debiutanckie tomiki Andrzeja Niewiadomskiego oraz Krzysztofa Paczuskiego, nieżyjącego już lubelskiego poety. Opublikowaliśmy również archiwalia „Londyn –Toronto –Vancouver: rozmowy z pisarzami emigracyjnymi”(mieszkającymi w Londynie i w Kanadzie). To była dawna grupa Kontynenty, ale nie tylko, zaprezentowana w serii dużych rozmów. Wydaliśmy również tomiki Agaty Tuszyńskiej, która przecież dzisiaj jest wybitną biografką oraz znaną autorką. Później były publikacje autorów, o których mówiłem, w tym dwukrotnie Andrzeja Sosnowskiego („Sezon na Helu”i później kolejna w serii). Natomiast w Bibliotece „Kresów”ukazywały się też książki krytyczno-eseistyczne (bardzo ważne) Piotra Sommera i Marka Adamca. One miały bardzo wiele recenzji. Dzisiaj teksty krytyczne przechodzą bez echa, a w tamtych czasach to były bardzo ważne publikacje. W ostatnim roku istnienia pisma ukazał się ostatni tomik w Bibliotece „Kresów”–„Tremo”Andrzeja Niewiadomskiego. Zresztą książka ta była nominowana do Nagrody Literackiej Gdynia, o czym też w Lublinie cicho sza. Ale to był taki akord, można by powiedzieć, pożegnalny.

041 Organizowaliśmy spotkania promocyjne z naszymi autorami

My jako „Kresy”organizowaliśmy spotkania promocyjne z naszymi autorami. [Odbływały się one na zewnątrz], dlatego że siedziba redakcji była bardzo mała. I w różnych miejscach. Pamiętam, we współpracy z Teatrem NN, w Hadesie, w Centrum Kultury, gdzieś tam jeszcze. W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych sporo było takich różnych rzeczy. One trwały –myślę od 1992 do 1997 roku. Mniej więcej w tym momencie. Później to jakoś wygasło.

Zapraszaliśmy twórców, którzy także byli naszymi autorami: Annę Bolecką, [Gustawa] Herlinga[-Grudzińskiego], Jarosława Marka Rynkiewicza; poetów, których wydawaliśmy: [Andrzeja] Sosnowskiego, [Eugeniusza] Tkaczyszyna-Dyckiego, [Tadeusza] Piórę. Niestety teraz łapię się na tym, że trzeba było zapisać bardzo wiele wspomnień. Pamięć jest taka, jaka jest. Mnóstwo rzeczy wylatuje, a okazuje się, że one są gdzieś poukrywane. Nawet w tej chwili usiłuję sobie przypomnieć te spotkania, ale wiem, że było ich bardzo dużo. Pamiętam jakieś obrazy. Pamiętam, że niektóre sam prowadziłem. Ale jeśli chodzi o szczegóły, to wszystko się pozacierało. Wszystko może nie, ale wiele. Natomiast promocji numerów nie było aż tak dużo.

042 „Wypalony, rozczarowany, ale spełniony”

W ubiegłym roku rzeszowska „Fraza” poprosiła mnie o osobiste wspomnienia redaktora nieistniejącego pisma. To miało się znaleźć w książce, ale też wydrukowali w swoim czasopiśmie. Napisałem tekst pod takim tytułem: „Wypalony, rozczarowany, ale spełniony” Wypalony, bo to była ciężka praca. Rozczarowany tym wszystkim, co się działo wokół pisma, czyli biurokracyzacją. Ale spełniony, ponieważ uważam, że to była przygoda mojego życia –działalność, która dała mi niesamowitą satysfakcję. I Magda Rabizo-Birek, redaktor naczelny „Frazy” napisała mi, że z mojego tekstu powstała właściwie mikroproza. Sprawilo mi to przyjemność.

Opisałem tam też naszą siedzibę redakcji: jak wyglądał lokal „Kresów” na ulicy Chopina. To jest kamienica narożna. Wchodziło się od ulicy Chopina, klatka schodowa wychodziła na przychodnię. Było też wejście od ulicy Hipotecznej na drugim piętrze. Widok rozpościerał się na ulicę Hipoteczną. To był jeden pokój –małe pomieszczenie zavalone książkami, czasopismami i jakimiś innymi rzeczami. Znajdowały się tam biurka, piec –jeden i drugi (rok przed odejściem zrobiono nam remont i mieliśmy już piec). W redakcji istniał kącik, gdzie przyjmowaliśmy gości. Bywałem w różnych lokalach redakcyjnych i wiem, jak inne wyglądały. Nasza siedziba miała swój klimat.

Natomiast tam nie dało się zorganizować spotkania autorskiego. My sami mieściliśmy się z trudem, i ewentualnie zaproszona osoba. Robiliśmy tam więc spotkania redakcyjne, a autorskie organizowaliśmy na zewnątrz. Dlatego że chodziło o to, żeby przyszli też jacyś ludzie.

043 Pierwsze spotkania autorskie w Lublinie w latach 90.

Początkowo spotkania autorskie w latach dziewięćdziesiątych w Lublinie stanowiły orkę na ugorze. To było straszne. Dzisiaj to wygląda inaczej, jakkolwiek nie tak jak na przykład w Krakowie, Poznaniu czy Gdańsku. Tam przychodzi stała, ale dość duża publiczność.

Pierwsze spotkania autorskie w Lublinie to była garstka. Tutaj zapocentowała przede wszystkim działalność podjęta w Teatrze NN. Początkowo odbyło się ileś takich wydarzeń z naszym udziałem. Zaczęto w tym mieście robotę, która jest jakby inną ideą Miasta Poezji. Gdyby ktoś wymyślił (świetne) Miasto Poezji w Lublinie z początku lat dziewięćdziesiątych, to poniósłby katastrofę. Nie miałby kto przyjść. Iles lat musiało się na to złożyć.

044 Każdy z nas dość wcześnie poszedł w inną stronę

Tomek Pietrasiewicz należał do stowarzyszenia w pierwszych latach i uczestniczył w naszych pracach. Tak jak i Grzegorz Rzepecki, który był dłużej członkiem stowarzyszenia. To była szersza formuła. Stworzyliśmy taką inicjatywę: Pamięć. Miejsce. Obecność. Ona się później rozmyła. Istniało też jeszcze wydawnictwo FIS, którego Tomek był współzałożycielem. I to wszystko poszło w inną stronę. Andrzej

Peciak został dyrektorem wydawnictwa UMCS-u. Tomek, wiadomo, jego dzieckiem jest Teatr NN. My mieliśmy swoją sprawę.

Ale w początkach było wiele wspólnych działań także historyków sztuki. Magda Ujma przecież miała swój bardzo ciekawy projekt. Ja, pamiętam, w latach dziewięćdziesiątych też sporo bardzo różnych rzeczy prowadziłem, współuczestniczyłem czy uczestniczyłem w jakichś dyskusjach –ale jako osoba prowadząca. Natomiast okazało się, że inaczej wygląda wydawanie pisma na początku, kiedy entuzjazm napędza działania, inaczej w środku istnienia (tak jak tu –dwadzieścia lat), a jeszcze inaczej pod koniec. Idea byłaby ciekawa pod warunkiem pewnej instytucjonalizacji działań i bycia razem w jednej przestrzeni. A jednak każdy z nas dość wcześnie poszedł w inną stronę.

045 Reakcja lubelskiego środowiska na „Kresy”

Myślę, że na początku [reakcja lubelskiego środowiska na powstanie „Kresów”] charakteryzowała się obojętnością i poczuciem wyższości: jacyś młodzi –po prostu gówniarze –coś tam tworzą, a co to będzie za pismo... Ale otrzymywaliśmy też dobre merytoryczne wsparcie ze strony Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, które właśnie w 1990 roku zostało reaktywowane. I ci twórcy byli też naszymi autorami. Na przykład Bogdan Madej, Bohdan Królikowski, w początkach [Krzysztof] Paczuski.

Natomiast byliśmy z daleka od środowiska ZLP [Związek Literatów Polskich] –trzeba to jasno powiedzieć. Dzisiaj patrzę na to już troszkę inaczej. Ale wtedy kiedy byliśmy młodzi, sądziliśmy, że współpracowali z tym reżimem i tak dalej. Na początku „Akcent” też nam się nie podobał. Jakkolwiek do dzisiaj nam przypominają, w cudzysłowie, że tam debiutowaliśmy: ja, Andrzej Niewiadomski, Grzegorz Filip. Ale sytuacja była taka, że asystent musiał gdzieś opublikować. To gdzie miał to robić? Nie od razu w „Twórczości” tylko w „Akcentie”

Wiem, że do samego końca istniało nastawienie, że byliśmy mało lubelscy. Ale my nie chcieliśmy być lubelscy, nie chcieliśmy być lubelską prowincjonalnością. I ja do końca będę to bardzo wyraźnie mówił. Nie chcieliśmy grzeźnięcia w tym wszystkim. Zresztą później to wszystko nas pokonało. Ale mieliśmy pewną swobodę działania. Dzisiaj wiem, że w którymś momencie trzeba byłoby biegać i dopieszczać urzędników. Bo moi koledzy redaktorzy to robili i robią. My nigdy tego nie robiliśmy. Natomiast efekt był taki, że decyzja urzędnicza brzmiała: nie ma dotacji. Nie ma, to nie ma. Należało się zastanowić, co robić dalej.

Tak że myślę, że „Kresy” były niekochane w tym mieście, i to z wzajemnością. Ja czuję się do związku z Lublinem, ale do związku bardziej wykreowanego. Bliżej mi jest do tego, co stworzył [Tomek] Pietrasiewicz w Teatrze NN. Oczywiście nie w sensie programowym, bo to jest coś zupełnie innego. Ale wydaje mi się, że jest to sprawa pewnego tworzenia, pewnej konstrukcji. Miejsca, gdzie mogą się spotkać bardzo różne inicjatywy, ale podobne w jednym działaniu: w innym zdefiniowaniu tego miejsca i w odcięciu się od korzeni peerelowskiego regionalizmu. Bo to zostało

w mieście. To jest i dzisiaj to się ma najlepiej. Nie mam żadnych złudzeń. I nas taka lubelskość nie interesowała.

046 W „Kresach” publikowałem mało tekstów

W „Akencie” ogłosiłem dwie czy trzy recenzje. Później, w momencie kiedy podjąłem to „kresowe” działanie, uznałem, że trzeba tworzyć w naszym piśmie. Chociaż właściwie w „Kresach” mniej publikowałem. Natomiast współpracowałem z innymi czasopismami. Regularnie (chyba przez dziesięć lat) pisałem do „Twórczości” oraz do gdańskiego kwartalnika „Tytuł”. Przez dwa czy trzy lata publikowałem również w „Znaku” w Krakowie – stworzyłem tam kilkanaście tekstów. Także do „Odry” pisałem dość regularnie. To były teksty, które – muszę stwierdzić ze zdziwieniem dla samego siebie – okazały się ważne, bo wokół nich pojawiły się jakieś dyskusje oraz polemiki. Później przedrukowywano je w antologiach polskiej krytyki literackiej, dzisiaj zaś są przedmiotem na przykład pracy badawczej.

047 „Kresy” były oszczędne w grafikę

„Kresy” były pismem oszczędnym pod względem graficznym. Publikowaliśmy przede wszystkim rysunki. Mieliśmy swoich stałych rysowników. To byli dobrzy i ciekawi autorzy: Marek Haczyk i – zwłaszcza w ostatnich latach – Tomasz Bohajedyn. To jest pseudonim kogoś, kto pod takim nazwiskiem drukuje swoje rzeczy. Nie będę mówił kogo. On tworzy bardzo ciekawe prace. Okazjonalnie byli też inni twórcy. Natomiast materiał ikoniczny pojawiał się w dziale sztuki na zasadzie ilustracji.

Wprowadziliśmy zasadę, że każda okładka miała inny kolor. I ta kolorystyka była raczej ostra. Tak żeby pismo się wyodrębniało, żeby można było je widzieć. Dlatego rzadko wybieraliśmy ciemne barwy typu brązowa czy czarna.

Logo stworzył Dobrosław Bagiński. O tym oczywiście trzeba powiedzieć. Wydaje mi się, że jest bardzo udane i ciekawe. Zresztą od początku do końca pozostało niezmienione. A są przecież pisma, które modyfikowały swoje logo. U nas pojawiały się tylko jakieś drobne zmiany typograficzne.

048 „Kresy” stanowiły jeszcze pismo słowa

„Kresy” nie były wyszukane pod względem edytorskim – to trzeba powiedzieć. Dlatego że my wyszliśmy z dawnej epoki. To było jeszcze pismo słowa. Dzisiaj ono wyglądało by na pewno inaczej. Nikt przecież nie kupiłby dwustu pięćdziesięciu stron białego druku.

O tym zdecydowaliśmy na samym początku. Do końca chcieliśmy utrzymywać charakter kwartalnika opartego na słowie. Czyli takiego, w którym blok główny jest wyraźnie wyodrębniony. Gdzie są duże teksty krytyczne, duże zestawy poetyckie, duży kawałek prozy oraz blok przekładowy. Od początku w każdym numerze był montowany taki blok. Nie pojedynczy przekład, tylko dużo różnych tekstów z bardzo różnych literatur. Czasami wchodziły one nawet głęboko w sam numer. Na przykład

już pod koniec istnienia pisma, gdzieś w 2007 czy 2008 roku, powstał blok poświęcony podróżom artystycznym z tłumaczeniami klasycznych esejów anglosaskich (takich jak [Marcusa] Raskina [William] Hazlitta, [Joshui] Reynoldsa, kogoś jeszcze) i z tekstami o tym. Właściwie te przekłady w dużym stopniu zbudowały nam blok główny. Ale nigdy nie powstał blok wyłącznie przekładowy. Dawaliśmy tam teksty współczesne, aktualne, poetyckie czy prozatorskie.

Z Andrzejem Niewiadomskim potrafiliśmy się znakomicie zgrać. Przecież nie da się zamówić wierszy czy prozy na temat, bo to byłoby czymś absurdalnym. To nie wyglądało tak mechaniczne, że mamy kupkę poezji oraz prozy i dajemy do numeru teksty, które przysły najwcześniej. Ale z rzeczy, które mieliśmy, on potrafił zbudować pewne bloki wchodzące w dialog z tekstami krytycznymi czy z pomysłem na jakąś część bloku w numerach. Tyle że muszę powiedzieć, że jest to trudne do uchwycenia chyba nawet dla czytelnika, który jest zainteresowany sprawami literackimi. Trzeba by było głęboko przeczytać całość i widzieć pewne nawiązania. To jest część pracy redakcyjnej, która może być widoczna dopiero po jakimś czasie nawet dla kogoś, kto się czymś zajmuje bardziej badawczo, nie tylko dla zwykłego czytelnika. I takie rzeczy są zrobione w „Kresach” I to się udawało.

Były też dzieła zamawiane i tworzone wokół pewnych tekstów czy dobierane wokół pewnych konstelacji, jeśli chodzi o materiał literacki. To jest bardzo trudne do zrobienia, ale możliwe. Z tym że pismo musi wychodzić już jakiś czas i musi być rozpoznawalne. Musi mieć status czasopisma, do którego każdy czy prawie każdy poproszony o to da swój tekst. Poezję zamawialiśmy nie na zasadzie tematycznego zamówienia, tylko otrzymywaliśmy zapewnienie od konkretnego autora, że dostaniemy jego wiersz.

Andrzej Niewiadomski z tego, co przychodziło, co było zamówione lub co sam wyławiał u młodych ludzi, tworzył ciekawe całości. Moim zdaniem to jest najtrudniejsze i to jest inna szkoła jazdy. Ja bym tak nie potrafił. Bo moje działanie w obszarze eseistyki i krytyki było innego rodzaju. Wiele rzeczy mogłem zaprogramować równocześnie z możliwościami przesunięć i dopełnień: to na razie nie wejdzie, więc wchodzi coś innego. I to wszystko było w ruchu. To było dynamiczne, bardzo fajne. To było najciekawsze w tym wszystkim.

049 Polemiki i dyskusje w „Kresach”

Każda gazeta czy każdy tygodnik lub miesięcznik społeczno-polityczny istnieje w debacie kulturowej. W „Kresach” pojawiały się na przykład polemiki z materiałami. Jeśli były to merytoryczne i istotne dyskusje, to je drukowaliśmy. Przedstawialiśmy głosy, gdy ktoś się nie zgadzał z czymś stanowiskiem. Natomiast bywały też polemiki, które określam jako folklor redakcyjny. On zawsze jest związany ze zjawiskiem grafomanii. Takie rzeczy traktowaliśmy inaczej. To znaczy inaczej do tego podchodziliśmy.

Publikowaliśmy dyskusje odnośnie pewnych tekstów, a nie recenzji. Dlatego że

recenzent ma prawo mieć swoje zdanie. Oczywiście pojawiały się takie polemiczne głosy. Na przykład autor X pisał do mnie w prywatnym liście: „Jak mogłeś mi to zrobić?” Albo ktoś inny pisał: „Więcej wam nie dam, bo się ukazała zła recenzja” albo: „Nie dam, bo się nie ukazała recenzja”i tak dalej. To jest trochę inna historia, ale tak się zdarza w tym świecie.

Ukazywały się teksty, do których pojawiały się polemiki. Na przykład w ostatnich latach była dyskusja wokół obrazów sandomierskich, wokół mordy rytualnego. Wywiązywały się też dysputy na temat sztuki zaangażowanej i na temat jeszcze innych rzeczy. Natomiast w sensie literackim w piśmie obecna była pewna polemika dotycząca tworzonej literatury najnowszej. Bo my dopuszczaliśmy głosy bardzo różnych autorów. Zapraszaliśmy nawet takich, z którymi nie musieliśmy się godzić. I niektórzy z nich się odnosili krytycznie do diagnoz pojawiających się na łamach „Kresów” Inni z kolei pewne zjawiska opisywali ze swojej perspektywy, czyli tak jak je widzieli.

050 Nie wyobrażam sobie pisma, które by nie miało żadnych wpadek

W „Kresach” pojawiały się pomyłki, ale były rzadko. Nie ma chyba redakcji, w której by się nie zdarzyły. Powiedziałbym raczej o chochlikach drukarskich, a nie o pomyłkach. Ale one pojawiały się na takiej zasadzie, że na przykład w korekcie wypadła linijka drukowanego wiersza, mimo iż tekst był czytany ileś razy. I został tak wydrukowany. Takie rzeczy się zdarzają. Nie mamy na to wpływu. Nie chcę w tym momencie skłamać, ale to były bardzo pojedyncze przypadki. Wydaje mi się, że bardzo incydentalne. Może dwa, trzy razy trafiła nam się rzeczywiście większa wpadka redakcyjna, że my redaktorzy zostaliśmy obsztorcowani. Ale wydaje mi się, że to jest normalna, naturalna sprawa. Nawet nie wyobrażam sobie pisma, które by nie miało żadnych wpadek. Świadczyło by to, że pracują tam nie ludzie, tylko roboty.

Sprostowania drukowaliśmy na końcu, tak jak jest to praktykowane. Gdzieś się je chowało. Dlatego że ukrywa się takie rzeczy. Z jednej strony pomyłki się zdarzają i są wpisane w to wszystko. Ale z drugiej strony nie przynoszą chluby redakcji. Jeżeli na przykład dostaliśmy wiersz i wypadła nam zwrotka, a w korekcie nikt tego nie zauważył, to musieliśmy ten wiersz przedrukować jeszcze raz, ale on się pojawiał nie w głównym bloku, tylko gdzieś indziej, gdzieś dalej.

Data i miejsce nagrania	2013-06-25, Lublin
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Maria Buczkowska
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"